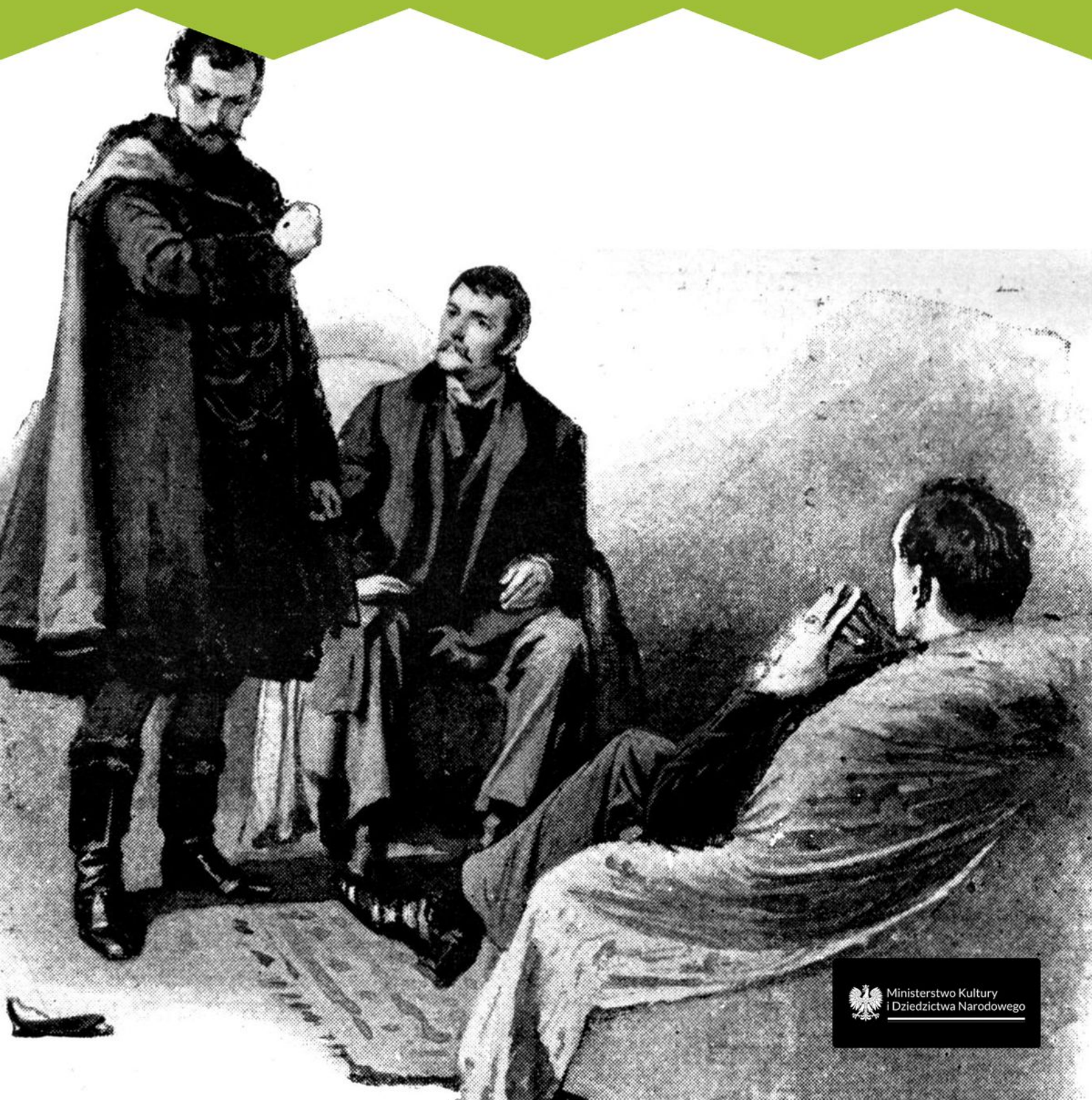


# Skandal w Bohemii



ARTHUR CONAN DOYLE

## Skandal w Bohemii

TEUM. NIEZNANY

### I.

Dla Sherlocka Holmesa była ona zawsze „Kobietą”. Rzadko słyszałem, by wspominał o niej w jakikolwiek inny sposób. W jego oczach przyćmiła i zdominowała wszystkie inne przedstawicielki swojej płci. Nie znaczy to, że darzył Irene Adler jakimś uczuciem zbliżonym do miłości. Wszystkie emocje, a ta jedna szczególnie, były odrażające dla jego zimnego, precyzyjnego, ale wspaniale zrównoważonego umysłu. Był, jak sądzę, najdoskonalszą maszyną rozumującą i obserwującą, jaką widział świat; ale jako kochanek postawiłby się w fałszywej roli. Nigdy nie mówił o łagodniejszych uczuciach, chyba że z kpina i szyderstwem. Mogą one urzekać obserwatora — doskonale służą temu, by demaskować ludzkie motywy i działania. Ale dla kogoś operującego wyszkolonym rozumem dopuścić, by doszło do takiej ingerencji w jego własny, subtelny i precyzyjnie wyregulowany temperament, oznaczałoby wprowadzenie czynnika rozprasającego, który mógł podać w wątpliwość wszystkie jego kombinacje umysłowe. Ziarnko piasku w czułym instrumencie lub pęknięcie w jednej z jego soczewek o dużej mocy nie byłyby bardziej niepokojące niż silne emocje dla natury takiej jak jego. A jednak w jego życiu istniała jedna kobieta, a tą kobietą była Irene Adler, zdecydowanie nieświętej pamięci.

Kobieta

Niedawno ożeniłem się i z tego powodu w ostatnich czasach przestałem widywać się z moim starym przyjacielem, Sherlockiem Holmesem. Domowe szczęście i prywatne interesy wypełniały mi całkowicie czas, jak to się zawsze zdarza, kiedy ktoś przechodzi zwrotny punkt w życiu i zakłada własne ognisko domowe. Sherlock Holmes tymczasem, nienawidząc każdej formy życia społecznego całą swoją cygańską duszą, pozostał w naszym mieszkaniu na Baker Street, zagrzebany w swoich książkach, co tydzień odmieniając używkę i przechodząc od kokainy do ambicji, usypiając sztucznie swe nerwy za pomocą pierwszego z tych środków, a drugim pobudzając je znów do energicznej akcji. Pracował też wciąż nad swoim studium przeróżnych zbrodni i typów zbrodniarzy, poświęcając ustawicznie swe pierwszorzędne zdolności, wrodzony dar bystrej obserwacji na zdobywanie kluczy do różnych tajemnic, o odkrycie których daremnie się kusiła policja. Od czasu do czasu i do mojego zacisza docierały echa jego niestrudzonej działalności — wieści o wezwaniu do Odessy w sprawie morderstwa Trepowa, o wyjaśnieniu niezwyklej tragedii braci Atkinson w Trincomalee i wreszcie o misji, którą tak delikatnie i skutecznie wypełnił dla panującej rodziny holenderskiej. Poza tym jednak w owym czasie nie wiedziałem o mym dawnym przyjaciólu i towarzyszu nic więcej nad to, o czym dowiadawali się wszyscy czytelnicy gazet.

Pewnego wieczoru — było to 20 marca 1898 roku — wypadło mi w drodze powrotnej z konsultacji (zajmowałem się bowiem znowu prywatną praktyką zawodową) przechodzić przez Baker Street. Kiedy zbliżyłem się do drzwi tak dobrze znanego mi domu, który kojarzył mi się z moimi zalotami i mrocznymi wydarzeniami opisanymi w *Studium w szkarłacie*, ogarnęła mnie nieprzeparta chęć, by odwiedzić Holmesa i dowiedzieć się, jakiej znów tajemniczej czy zagmatwanej historii oddaje w tej chwili swoje siły. Jego mieszkanie było rzęsiście oświetlone, a na szybach okna dostrzegłem kilka razy cień jego wysokiej, chudej postaci. Z głową opuszczoną na piersi, założywszy ręce z tyłu, przebiegał pokoje szybkim, nerwowym krokiem w głębokim zamyśleniu. Zbyt dobrze znałem jego przyzwyczajenia i nastroje, by od razu nie domyślić się, że mózg jego zaciekłe nad czymś



w tej chwili pracował. Widocznie wyrwał się z wypoczynku, jaki sztucznymi sposobami dał swoim nerwom, i śledził znowu jakąś zagadkę. Pociągnąłem za dzwonek i za moment znalazłem się znów w tym samym pokoju, który z nim niegdyś dzieliłem.

Sposobu, w jaki przyjął mnie Sherlock, nie można właściwie nazwać zbyt serdecznym, a jednak poznałem od razu, że ucieszył się z mego przybycia. Rzadko zresztą okazywał swe uczucia. Przemówił do mnie zaledwie parę słów, ale uścisnął silnie mą dłoń i z przyjaznym uśmiechem zmusił mnie, bym zasiadł w najwygodniejszym fotelu. Potem postawił obok mnie pudełko z cygarami i wskazał stojącą w rogu pokoju szafkę, w której zawsze było parę butelek dobrego wina i parę flakonów wykwiutnych likierów, a stanąwszy wreszcie przed ogniem, który palił się na kominku, począł mi się badawczo przyglądać.

— Małżeństwo ci służy, Watsonie — rzekł po chwili — zdaje mi się, że musiałeś zyskać na wadze, tak z półósma<sup>1</sup> funta<sup>2</sup>, odkąd cię ostatnio widziałem.

— Przybyło mi siedem funtów — odparłem.

— Istotnie? Zdawało mi się, że trochę więcej, tylko odrobinę zresztą. I praktykujesz znów, jak widzę? Nie wspominałeś mi wcale, że masz zamiar znowu wejść w jarzmo.

— Skądże wiesz o tym?

— Patrzę na ciebie i wyciągam wnioski. Wiem także, iż niedawno chodziłeś po mieście podczas wielkiej słoty i że masz bardzo niedbałą i leniwą służącą.

— Mój kochany Holmesie — rzekłem — przestań już, proszę cię. Gdybyś żył o parę stuleci przedtem, spalono by cię na stosie. Istotnie zeszłego czwartku odbyłem wycieczkę na wieś podczas okropnej słoty i wróciłem do domu cały zmoczony i zablocony. Nie wyobrażam sobie jednak, jakim sposobem możesz o tym wiedzieć, bo natychmiast zmieniłem ubranie. A co do Mary Jane, to jest ona istotnie bardzo niedbała, moja żona wymówiła jej już nawet służbę, ale skąd do licha możesz o tym wiedzieć?

Sherlock zaśmiał się cicho i zatarł z zadowoleniem swe nerwowe, wąskie dłonie.

— Przecież to takie proste! — rzekł. — Widzę doskonale, że na wewnętrznej stronie twego lewego trzewika, która właśnie wystawiona jest ku światłu w tej chwili, skóra jest sześć razy w jednym miejscu nad podeszwą nacięta. Mógł to zrobić tylko ktoś, kto bardzo nieuważnie zeszkrobywał błoto jakimś ostrym narzędziem z brzegów podeszwy. I stąd mój podwójny wniosek: że musiałeś się bardzo zabłocić, wychodząc w niepogodę, i że masz obecnie w służbie szczególnie niedbałą i niezręczny okaz londyńskiej pokojówki. Co zaś do twojej praktyki, to doprawdy musiałbym mieć bardzo słabą głowę, gdybym w jegomości pachnącym jodoformem, mającym plamkę od azotanu srebra na palcu wskazującym prawej ręki oraz wybrzuszenie na boku cylindra pokazujące, gdzie schował stetoskop, nie poznał od razu praktykującego lekarza!

Uśmiechnąłem się, słysząc te słowa, będące popisem zdumiewającej szybkości i swobody wnioskowania.

— Skoro słyszę, jak rozumujesz — rzekłem — wydaje mi się to bardzo proste i sądzę, że i ja potrafiłbym to czynić. A jednak dowody twej bystrej obserwacji wprawiają mnie zawsze w zdumienie, kiedy je tak rozwijasz przede mną. A przecież mam wzrok równie dobry, jak ty!

— Tak! — rzekł, zapalając papierosa, po czym siadł na fotelu. — Widzisz dobrze, ale nie obserwujesz. *Różnica* jest jasna. *Widziałeś* zapewne na przykład wiele razy kamienne schody, które prowadzą od progu domu aż do tego pokoju?

— O tak! Bardzo wiele razy!

— Ile? Powiedz liczbę.

— No, myślę, że widziałem je kilkaset razy z pewnością!

— Zatem będziesz mi mógł zapewne powiedzieć: ile mają stopni?

— Ile stopni? Nie mam pojęcia ile!

— Widzisz więc, że patrzyłeś na nie, ale nie obserwowałeś ich. A ja wiem zupełnie dokładnie, że jest tych stopni siedemnaście, bo patrząc, policzyłem je: uczyniłem na nich obserwację. Ale *à propos*. Wiem, że interesowały cię zawsze moje różne kryminalistyczne awantury i zdarzenia, opisałeś nawet niektóre z nich, więc przypuszczam, że prawdopo-

Wzrok

<sup>1</sup>półósma (daw.) — siedem i pół. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>funt — anglosaska jednostka wagi równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

dobnie zajmie cię i to! — Z tymi słowy podał mi arkusik różowego, grubego, listowego papieru leżący na stole. — Odebrałem to właśnie ostatnią pocztą, przeczytaj!

List, który mi podał, nie miał ani podpisu, ani też daty, a brzmiał następująco:

„Pewien pan, który pragnie pomówić z panem Holmesem w bardzo ważnej sprawie, odwiedzi Go dzisiaj o trzy kwadranse na ósmą<sup>3</sup>. Usługi, jakie pan Sherlock Holmes oddał niedawno jednemu z europejskich panujących domów starczą mi za dowód, że można Mu powierzyć sprawy największej wagi i dyskrecji. Takie sprawozdanie otrzymaliśmy ze wszystkich stron. Proszę więc Pana Holmesa, by zechciał być w domu o powyżej wskazanej godzinie i by nie brał za złe swemu zapowiedzianemu gościowi, że przybędzie on w masce na twarzy”.

— Za tym kryje się jakaś tajemnica! — zauważyłem. — Czyś już coś odkrył?

— Jeszcze nie mam żadnych danych. A sądzę, że wielkim błędem jest teoretyzować, zanim się ustali dane. Nieświadomie zaczyna się przekręcać fakty, aby pasowały do teorii, zamiast budować teorię na podstawie faktów. Ale cóż myślisz o samym liście?

Przyjrzałem się dokładnie pismu i papierowi.

— Zdaje mi się, że ten, kto to pisał, jest człowiekiem żyjącym w dostatku — rzekłem, usiłując naśladować sposób wnioskowania mego przyjaciela. — Użyty papier kosztował nie mniej niż pół korony za paczkę, jest szczególnie, bardzo gruby i sztywny.

— Szczególny to dobre słowo — rzekł Holmes — w każdym razie nie został wyprodukowany w Anglii. Spójrz nań pod światło.

Tak też zrobiłem i zobaczyłem na papierze znaki wodne; duże E z małym g, P i duże G z małym t wplecione w fakturę papieru.

— No? Cóż sądzisz o tym? — pytał Sherlock.

— To bez wątplenia nazwa fabrykanta, a raczej jego monogram.

— Nic podobnego. G z małym t oznacza „*Gesellschaft*”, czyli „spółka” po niemiecku. To zwyczajowa forma skrócona, podobnie jak nasze „Co”. P oczywiście oznacza „Papier”. Teraz co do liter Eg. Rzućmy okiem do słownika geograficznego.

Zdjął z półki ciężki tom w brązowej oprawie.

— Eglów, Eglonitz... mamy to: Egria<sup>4</sup>. Miejscowość w niemieckojęzycznym kraju, Bohemii<sup>5</sup>, niedaleko Karlsbadu<sup>6</sup>, „sławna jako miejsce śmierci Wallensteina<sup>7</sup>, a także z powodu licznych hut szkła i papierni”. Ha, ha, mój drogi, co o tym myślisz?

Zaśmiał się, oczy mu błysły i wypuścił triumfalnie wielki, błękitny kłęb dymu z papierosa.

— Papier został wyprodukowany w Bohemii — powiedziałem.

— Dokładnie. A list ten pisał Niemiec. Czy zauważyłeś osobliwą konstrukcję zdania: „Takie sprawozdanie otrzymaliśmy ze wszystkich stron”? Francuz ani Rosjanin nigdy by nie napisał w ten sposób, tylko Niemcy potrafią być tak mało uprzejmi w stosunku do czasowników. Pozostaje więc tylko wyjaśnić, czego chce ten Niemiec, który pisze na papierze czeskim i woli nosić maskę niż pokazywać twarz. I jeżeli się nie mylę, właśnie nadchodzi, aby rozwiązać wszystkie nasze wątpliwości.

Gdy domawiał tych słów, z ulicy istotnie doleciał moich uszu odgłos uderzeń końskich kopyt o bruk i turkot kół przed domem, po czym energicznie zadzwoniono do drzwi.

Holmes gwizdnął z cicha.

— Para, sądząc po dźwięku — rzekł i wyjrzał za okno. — Tak — kontynuował. — Ładny kryty powóz i para pięknych koni, każdy wart najmniej sto pięćdziesiąt gwinei. W tej sprawie są pieniądze, Watsonie, jeśli nie ma jeszcze czegoś więcej.

— Myślę, że najlepiej uczynię, jeśli już pójdę, Holmesie — rzekłem.

<sup>3</sup>trzy kwadransy na ósmą — siódma czterdzieści pięć; za kwadrans ósma. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Egria — właśc. Cheb. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Bohemia — dziś: Czechy. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Karlsbad — dziś: Karlowe Wary. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Wallenstein, Albrecht von (1583–1634) — wódz i polityk pochodzenia czeskiego z okresu wojny trzydziestoletniej, zginął oskarżony o zdradę 25 lutego 1634 w Chebie (łac. Egra). Friedrich Schiller napisał oparty na faktach z awanturczego życia Wallensteina dramat w trzech aktach *Trylogia o Wallensteinie i wojnie trzydziestoletniej*, oryg. *Wallenstein-Trilogie* (1799): *Obóz Wallensteina* (*Wallensteins Lager*), *Dwaj Pikkolominowie: Rzec w pięciu aktach* (*Die Piccolomini*), *Śmierć Wallensteina* (*Wallensteins Tod*). [przypis edytorski]

— Nawet o tym nie myśl, doktorze. Czułbym się zagubiony bez mojego Boswella<sup>8</sup>. A zresztą ta historia zapowiada się ciekawie. Szkoda byłoby to przegapić.

— Ale co powie twój klient?

— Z nim nie rób sobie żadnych skrpułów. Może istotnie obaj będziemy potrzebować twojej pomocy. Już idzie. Siadaj więc na powrót w fotelu i poświęć nam całą swoją uwagę.

Ciężki, powolny krok, który słychać było ze schodów i z korytarza, zatrzymał się nagle przed drzwiami. W tej chwili zapukano silnie.

— Proszę wejść! — rzekł Holmes.

Do pokoju wszedł mężczyzna liczący pewnie sześć stóp i sześć cali wzrostu<sup>9</sup>, o torsie i członkach herkulesowych. Bogaty jego ubiór zdradzał niewątpliwie zamożność, ale w sposób, który w Anglii postrzegano by jako przejaw braku gustu. Miał na sobie rodzaj krótkiego do kolan paltota, zapinanego dwurzędowo i zdobnego z przodu szmuklerską robotą, którego kołnierz, rękawy, a nawet dolna krawędź zdobna była szerokimi wyłogami karakułowymi. Narzucony na wierzch ciemnoniebieski płaszcz był podszyty jedwabiem o płomienistej barwie i spięty wielkim berylem pod szyją. Ciemne spodnie, wypuszczone w sięgające do połowy łydki cholewy bogato futrem obszytych butów, dopełniały wrażenia barbarzyńskiego przepychu, jaki bił z całego wyglądu przybysza. W rękę miał kapelusz o szerokich kresach, a czarna maska, która okrywała mu górną połowę twarzy, musiała zostać włożona dopiero w ostatniej chwili, bo wchodząc, jeszcze ją poprawiał. Wyglądał spod niej dół twarzy o wysuniętej grubej wardze dolnej oraz długim i prostym podbródkiem, znamionującym skrajną determinację lub upór.

— Czy pan otrzymał mój list? — zapytał głosem głębokim i ostrym, o wyraźnym niemieckim akcencie. — Uprzedziłem pana o mojej wizycie — mówiąc to, spoglądał na nas kolejno.

— Proszę, niech pan zechce usiąść — rzekł Holmes — oto mój przyjaciel i kolega, doktor Watson, który jest tak łaskaw, że pomaga mi w niektórych trudnych przedsięwzięciach. Z kimże mam zaszczyt...?

— Może mnie pan nazywać hrabią von Kramm... Przypuszczam, że pański przyjaciel jest człowiekiem honoru i na tyle dyskretnym, że mogę mu zawierzyć tajemnicę niezwyklej wagi. W przeciwnym razie wolałbym mieć do czynienia z samym panem Holmesem.

Podniosłem się natychmiast, by opuścić pokój, ale Holmes ujął mnie mocno za rękę i zmusił do zajęcia dawnego miejsca.

— Z nami obydwoma albo z żadnym — oświadczył stanowczym głosem. — Tego, co ma mi pan powiedzieć, może wysłuchać i doktor Watson!

Hrabia wzruszył swymi szerokimi ramionami.

— W takim razie — rzekł — muszę panów obydwu zobowiązać do absolutnej dyskrekcji na przeciąg dwóch lat. Później ta sprawa nie będzie już mieć znaczenia, nawet gdyby ujawniło się moje nazwisko. Nie przesadzam jednak ani trochę, twierdząc, że ujawnienie jej w tej chwili mogłoby wyrzucić ogromny wpływ na historię Europy.

— Zobowiązuję się do pełnej dyskrekcji — rzekł Holmes.

— Ja również — dodałem.

— Zechcą panowie wybaczyć, że przywdziałem maskę — mówił dalej dziwny gość Sherlocka — ale wysoko stojąca osobistość, w której imieniu przychodzę z panami traktować, życzyła sobie wyraźnie, by agent jej pozostał panom nieznany. Równocześnie muszę też wyznać, że przedstawiłem się panom pod fałszywym nazwiskiem.

— O tym wiedziałem — rzekł Holmes sucho.

— Okoliczności nakazują najwyższą delikatność w postępowaniu. Chodzi o odwrócenie wielkiego skandalu od pewnego książęcego domu, skandalu, który mógłby dom ten poważnie skompromitować. Trzeba tego uniknąć za wszelką cenę. Sprawa ta, mówiąc otwarcie, dotyczy dynastii książąt Ormstein, dziedzicznych królów Bohemii.

Holmes oparł się wygodnie o poręczę fotelu i przymknął oczy.

— I o tym także już wiedziałem — szepnął.

<sup>8</sup>Boswell, James (1740–1795) — pamiętnikarz szkocki, autor biografii pisarza i leksykografa angielskiego Samuela Johnsona; styl narracji Boswella, cechujący się szczerością i skrupulatnością, zapisał się na stałe kulturze i literaturze brytyjskiej, zyskując określenie *boswellian*. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>liczący pewnie sześć stóp i sześć cali wzrostu — tj. ok. 190 cm. [przypis edytorski]

Z widocznym zdziwieniem przybyły spojrzął na niedbale wyciągniętą postać najzręczniejszego agenta policyjnego w Europie. Holmes leniwie podniósł powieki i popatrzył na swego herkulesowej postawy gościa.

— Gdyby wasza wysokość raczyła opowiedzieć mi sprawę, o jaką chodzi — rzekł z wolna — byłoby mi daleko łatwiej udzielić rady.

Klient Sherlocka zerwał się nagle z krzesła i zaczął biegać po pokoju szybkim, nerwowym krokiem. Nareszcie gwałtownym ruchem zdarł z twarzy maskę i rzucił ją na ziemię.

— Zgadłeś pan! — zawołał. — Ja jestem księciem Ormstein, dlaczegóż zresztą mam to dłużej ukrywać!

— Istotnie nie widzę powodu — rzekł Holmes spokojnie — przecież wiedziałem o tym, zanim wasza wysokość wyrzekła jedno słowo!

Nasz dziwny gość usiadł znowu i przeciągnął dłonią po czole wysokim i białym.

— Pragnę, byś pan jednak zrozumiał... Powinien pan to zrozumieć, że nie mam zwyczaju zajmować się osobiście takimi sprawami. A przecież nie mogłem tej właśnie powierzać jakiemuś pośrednikowi, bo tym samym oddałbym się najzupełniej w jego ręce! W nadziei, że nie odmówisz mi pan swej rady, przybyłem *incognito* z Pragi do Londynu!

— Zatem proszę, niech wasza wysokość raczy mówić — rzekł Holmes, przymykając znowu powieki.

— Będę się streszczał; okoliczności sprawy są następujące: przed pięciu laty, bawiąc dłużej w Warszawie, zawarłem znajomość z pewną znaną awanturnicą, Ireną Adler. Imię to nie jest panu prawdopodobnie obce.

— Doktorze, bądź tak dobry i popatrz w moim skorowidzu! — rzekł Holmes, nie otwierając oczu.

Już przed kilku laty zaczął on spisywać systematycznie wszystko, co zasłyszał o różnych osobach i sprawach, tak że trudno byłoby wymienić nazwisko, miejscowość czy zdarzenie, którego by nie miał w „skorowidzu”, jak nazywał swój notatnik, i o którym by nie mógł udzielić bliższych informacji. Tym razem również znalazłem biografię wspomnianej przez księcia kobiety pomiędzy notatką o pewnym hebrajskim rabinie a życiorysem jakiegoś kontradmirała, autora studium o rybach żyjących w głębinach morskich.

— Masz? — zapytał Sherlock. — Dobrze, zobaczmy więc, co o niej wiemy. Hm! Urodzona w New Jersey w roku 1858. Głos altowy. La Scala. Primadonna opery cesarskiej w Warszawie. Aha! Ustąpiła ze sceny! Tak! Mieszka w Londynie, dobrze. Wasza wysokość, jak rozumiem, uwikłał się z tą osobą w pewne stosunki i napisał do niej parę kompromitujących listów, których zwrot byłby teraz bardzo pożądanym. Czy tak?

— Tak! Dokładnie tak, ale jakim sposobem?

— Czy miały miejsce tajemne zaślubiny?

— Nie.

— Czy nie ma jakichś umów prawnych albo oficjalnych zobowiązań?

— Nie ma żadnych.

— W takim razie nie rozumiem waszej wysokości. Gdyby ta młoda osoba zapragnęła zużytkować owe listy dla zysku lub w jakimkolwiek innym celu, jakże dowiodłaby ich autentyczności?

— Ależ charakter mego pisma...

— Ba! Falszerstwo!

— Listy pisane są na specjalnym gatunku papieru, wyrabianym do mego wyłącznego użytku.

— Skradziony!

— A moja pieczętka?

— Może być również podrobiona.

— A moja fotografia?

— Kupiona.

— Ależ... na tej fotografii jesteśmy oboje... razem!

— Ooo, to źle! Wasza wysokość popełnił błąd. To bardzo niedobrze!

— Byłem oszalały pod wpływem zmysłów!

— Wasza wysokość skompromitował się poważnie.

— Byłem wówczas bardzo młody, a przy tym miałem tylko tytuł następcy tronu. Mam dopiero trzydzieści lat.

— Trzeba wydostać koniecznie tę fotografię.

— Dotąd wszelkie usiłowania w tym kierunku były daremne.

— Czy wasza wysokość próbował pieniędzmi trafić do celu?

— Nie chce oddać tej fotografii za żadną cenę!

— Hm! Trzeba ją więc wykraść!

— Podjęto już pięć prób. Dwukrotnie włamywacze, których opłacałem, przetrząsnęli jej mieszkanie, raz przekierowaliśmy jej bagaże w czasie podróży, by je przeszukać, dwa razy sama została zatrzymana. Wszystko bez rezultatu.

— Nie znaleziono żadnego śladu?

— Najmniejszego!

Holmes zaśmiał się.

— A to zabawna historia!

— Dla mnie jest ona bardzo poważna! — rzekł książę karcącym tonem.

— Tak, przyznaję. Czy wiadomo chociaż, co ona z tą fotografią zamierza począć?

— Chce mnie przyprawić o nieszczęście!

— Jakim sposobem?

— Mam zamiar zawrzeć związek małżeński.

— Tak, słyszałem coś o tym.

— Z księżniczką Klotyldą Lothman von Saxe-Meningen, drugą córką króla Szwecji... zna pan zapewne surowe pojęcie moralności tego dworu, a sama księżniczka to wcielona delikatność. Gdyby więc jakikolwiek cień padł na mnie, plan mój musiałby upaść.

— A Irena Adler?

— Grozi mi. Chce posłać tę fotografię mej narzeczonej! I ona to uczyni, jestem przekonany. Nie zna pan jej duszy ze stali! Ach, jej słodka twarz Madonny bynajmniej nie zdradza, że ma też umysł najbardziej stanowczego mężczyzny! Ale nie ma takiej rzeczy, której by nie uczyniła, by przeszkodzić temu małżeństwu!

— Czy jest rzeczą pewną, że fotografia znajduje się jeszcze w jej ręku?

— Tak, najzupełniej pewną.

— Skąd o tym wasza wysokość wie?

— Przysięgła wysłać ją dopiero w dniu ogłoszenia mych zaręczyn. Uroczystość ta przypada w najbliższy poniedziałek.

— No, mamy zatem jeszcze trzy dni! — rzekł Holmes spokojnie. — To bardzo szczęśliwie się składa, gdyż muszę jeszcze załatwić dwie inne pilne sprawy. Wasza wysokość pozostaje tymczasem w Londynie?

— Tak. Znajdzie mnie pan w hotelu Langham pod nazwiskiem hrabiego von Kramm.

— A zatem tam prześlę mój raport waszej wysokości.

— Bardzo pana o to proszę! Będę go oczekiwał z najwyższym niepokojem!

— Rozumiem. Pozostaje więc jeszcze tylko kwestia pieniężna.

— Och, daję panu *carte blanche*!

— Całkowicie?

— Dałbym chętnie jeden z mych zamków za tę fotografię!

— A na bieżące wydatki?

Książę dobył z kieszeni gruby portfel i dużą sakiewkę, po czym położył je na stole.

— Tu jest trzy tysiące siedemset funtów szterlingów w złocie i banknotach.

Holmes nakreślił pokwitowanie na kartce swego notatnika, wydarł je i podał księciu.

— A adres *mademoiselle*? — zapytał.

— Briony Lodge, Serpentine Avenue, St. Johns Wood.

Holmes zanotował.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł. — Czy to była duża fotografia, formatu gabinetowego?

— Tak.

— Dobrze. Mam zatem zaszczyt życzyć waszej wysokości dobrej nocy!

Książę wstał i, skłoniwszy się nam, opuścił pokój.

— Dobranoc i tobie, Watsonie! — rzekł Sherlock do mnie, gdy ucichł już przed domem turkot księżącego ekwipażu. — Byłbym jednak bardzo rad, gdybyś jutro zaszedł do mnie o trzeciej po południu. Chętnie pomówiłbym z tobą o tej sprawie.

Przyrzekłem przybyć o umówionej godzinie i poszedłem do domu.

## II.

Nazajutrz stawiłem się na Baker Street punktualnie o trzeciej, ale Holmes jeszcze nie wrócił z miasta. Gospodyni jego opowiedziała mi, że wyszedł z domu przed ósmą rano. Zasiadłem więc przed kominkiem z usilnym postanowieniem doczekania się go. Sprawa księcia zainteresowała mnie mocno, a chociaż nie miała ona tego posępnego i straszego charakteru, który cechował inne opisane przeze mnie przygody Sherlocka, jednak właśnie ze względu na osobistość, których dotyczyła, była wyjątkowo zajmująca. Zawsze zresztą odczuwałem żywą przyjemność, mogąc obserwować mistrzowski sposób ujmowania każdej sytuacji oraz przenikliwe i śmiało rozumowanie mego przyjaciela, śledzić subtelne metody, za pomocą których rozwikływał najbardziej nierozwiązywalne tajemnice. Byłem tak przyzwyczajony do powodzenia towarzyszącego stale wszystkim jego czynom, że myśl o porażce jakiegось jego planu nawet nie przychodziła mi do głowy.

Tuż przed czwartą drzwiami otwarły się i w progu stanął jakiś stajenny, dosyć obdarty i niechlujny, a przy tym wyglądający na podpitego, z rozwichrzoną czupryną, jasnymi bokobrodami i mocno zaczerwienioną gębą. Jakkolwiek doskonale znałem zdumiewającą umiejętność Holmesa do przedzierzganiania się w różne postaci za pomocą przebrania, nie byłem jednak pewny, czy to jego mam przed sobą, dopóki nie skinął mi lekko głową, po czym znikł w drzwiach przyległej sypialni. Za pięć minut powrócił ubrany jak zwykle, bez zarzutu, w tweedowy garnitur i włożywszy ręce głęboko w kieszenie, rzucił się na fotel stojący przed kominkiem, zanosząc się ze śmiechu.

— Wybornie! — zakrzyknął, potem zakrzuszył się i znów się śmiał, aż w końcu opadł na krzesło obezwładniony.

— Cóż takiego? — spytałem.

— Udało się doskonale! Ręczę, że nie zgadniesz, czym zajmowałem się dziś i jak zakończyłem mój dzień!

— Nie mam pojęcia. Zapewne śledziłeś Irenę Adler? Obserwowałeś urządzenie jej domu i jej zwyczaje?

— Naturalnie, ale przebieg zdarzeń był dość niezwykły! Pozwól, że ci to opowiem. Opuściłem dziś rano mieszkanie jako stajenny szukający pracy. Powiadam ci, wśród służby stajennej panuje ogromne koleżeństwo i solidarność isticie wolnomularska. Skoro tylko należysz do ich cechu, możesz dowiedzieć się wszystkiego, czego zechcesz! Toteż bardzo prędko odszukałem Briony Lodge. Jest to dwupiętrowa willa, pięścidełko prawdziwe, z ogrodem na tyłach, przytykająca frontem wprost do ulicy. W drzwiach zamek firmy Chubb. Na dole z prawej strony znajduje się obszerny i pięknie umeblowany pokój mieszkalny, z ogromnymi, prawie do podłogi sięgającymi oknami, zamykanymi na te niedorzeczne angielskie zasuwki, które każde dziecko potrafi otworzyć. Zresztą nie ma tam nic godnego uwagi, chyba to jedno, że do okna nad drzwiami można się dostać z dachu przyległego budynku wozowni. Obszedłem willę dookoła i dokładnie obejrzałem z każdej strony, ale nie zauważyłem więcej niczego interesującego. Zapuściłem się w głąb i znalazłem stajnię w uliczce przytykającej do muru ogrodowego. Pomogłem tam stajennym w czyszczeniu koni, a w zamian otrzymałem dwa pensy, szklanekę piwa, tytoniu na dwa nabicia fajki i ile tylko mogłem zapragnąć informacji o panie Adler, nie wspominając naturalnie o tuzinie innych osób z sąsiedztwa, które nic a nic mnie nie obchodzą, a których biografii byłem zmuszony przy tym wysłuchać.

— No, a Irena Adler? — spytałem.

— O, ta zawróciła głowę wszystkim mężczyznom tej dzielnicy! Jest to najpiękniejsze stworzenie na świecie: co do tego cała stajnia przy Serpentine Avenue jest jednego zdania. Żyje jednak dosyć samotnie, śpiewa od czasu do czasu na różnych koncertach, co dzień o piątej wyjeżdża na spacer, a o siódmej wraca na obiad. O innych porach rzadko wychodzi z domu. Przyjmuje u siebie tylko jednego mężczyznę, uderzającej piękności bruneta. Przyjeżdża on do niej raz lub dwa razy dziennie i nazywa się pan Godfroy Norton



z dzielnicy Temple. Widzisz, jak to dobrze mieć znajomości ze stangretami. Moi koledzy odwozili go do domu niejednokrotnie i wiedzą o nim wszystko, co potrzeba. Skoro tylko przestali gadać, zacząłem sobie spacerować w pobliżu i ułożyłem już plan kampanii.

Ten pan Norton jest w całej sprawie nie bez znaczenia. Jest on na nieszczęście prawnikiem. Jakie stosunki łączą go z Ireną Adler i jaki ma powód do częstych swoich odwiedzin u niej? Czy Irena jest jego klientką, przyjaciółką czy kochanką? Oto najważniejsze pytania, jakie sobie postawiłem. Gdyby była jego klientką, oddałaby mu bez wątpienia fotografię do przechowania. Gdyby była kochanką, no! mniej bym się tego obawiał. W każdym razie od odpowiedzi na te pytania zależało, czy mam czynić poszukiwania w mieszkaniu damy, czy też jej przyjaciela. Odpowiedź była trudna i cała sprawa zacięła się na tym punkcie. Lękam się, że te szczegóły znudzą cię, Watsonie, ale bez nich niepodobna zrozumieć sytuacji.

— Słucham cię z całą uwagą — odparłem.

— Otóż biedzilem się jeszcze z tymi wątpliwościami, kiedy zaturkotała dorożka i zatrzymała się przed domem. Wyskoczył z niej uderzająco piękny mężczyzna z orlim nosem i starannie utrzymaną brodą. Był to bez wątpienia ów gość właścicielki willi, którego mi opisywano. Widocznie mu się śpieszyło. Kazał stangretowi czekać na siebie i wpadł w głąb domu, mijając pokojówkę, która mu drzwi otwarła jak komus z domowników. Bawił w Briony Lodge około pół godziny. Od czasu do czasu widziałem w oknach dolnego pokoju jego postać. Biegał tam i na powrót, gestykulując gwałtownie. Jej widać nie było. Nareszcie ukazał się na progu widocznie bardzo wzburzony. Spojrzał na zegarek i zawołał: „Pędź co koń wyskoczy! Najpierw na Regent Street do Grossa i Hankeya, a potem do kościoła św. Moniki na Edgeware Road! Płacę pół gwiney, jeżeli uwiniesz się w dwadzieścia minut!”

Stangret zaciął konia i powozik pomknął jak strzała. Namyslałem się, czy nie podążyć za nim, kiedy z uliczki od stajni zajechało małe lando przed drzwi willi. Stangret zapinał jeszcze guziki płaszcza, kiedy drzwi otwarły się i wyszła z nich w wielkim pośpiechu Irena Adler. Sama otwarła sobie drzwiczki i wskoczyła do powozu. „Pół suwerena, jeżeli w dwadzieścia minut staniemy przed kościołem św. Moniki!”, zawołała.

Widziałem ją tylko w przelocie, ale rozumiem doskonale, że mężczyźni dla niej szaleją! Swoją drogą, trzeba było korzystać z okazji. Na szczęście znalazłem dorożkę i kazałem się wieźć jak najszybciej do owego kościoła. Stangret wprawdzie zmierzył mnie dość pogardliwym wzrokiem, kiedy wsiałem, ale i ja zawołałem jak oni: „Pół suwerena, jeżeli za dwadzieścia minut będziemy przed kościołem św. Moniki!” Było wówczas dwadzieścia pięć minut do dwunastej. Kiedy przybyłem przed kościół, zastałem tam już ekwipaże obojga moich poprzedników. Z koni buchał opar. Zapłaciwszy, wszedłem szybko do środka. Oprócz panny Adler i Nortona, był tam tylko ksiądz, który mówił do nich coś z miną ogromnie zdumioną. Wszyscy troje stali przed ołtarzem. Powlokłem się boczną nawą ku temu ołtarzowi z miną próżniaka, który wstąpił do kościoła, nie wiedząc, co z czasem zrobić. Ku memu wielkiemu zdziwieniu wszyscy troje zwrócili na mnie oczy, a Godfroy Norton podszedł ku mnie żwawo.

— Dzięki Bogu! — zawołał. — Może zechce nam pan wyświadczyć bardzo ważną przysługę? Proszę za mną! Ale prędko, prędko!

— Cóż to ma być? — zapytałem z głupia frant.

— Chodź pan, na miłość boską! Mamy jeszcze tylko trzy minuty! Jeżeli miną, nim załatwimy tę sprawę, wszystko przepadnie!

I powlókł mnie do ołtarza. Zaledwie tam stanąłem zdumiony, nie pojmując jeszcze, co się tu dzieje, posłyszałem jakieś pytania, na które dawałem odpowiedzi, powtarzając to, co mi podszeptano do ucha. Przyświadczałem czemuś, o czym nie miałem żadnego pojęcia! Krótko mówiąc, byłem świadkiem ślubu Ireny Adler, panny, z Godfroyem Nortone, kawalerem. W okamgnieniu cała ceremonia była dokonana i z prawej strony dziękował mi jakiś pan, a z lewej — jakaś dama. Powiadam ci, w życiu nie byłem jeszcze nigdy w tak głupim położeniu i na samo wspomnienie śmiać mi się chce jeszcze! Coś z tym ślubem musiało naturalnie być nie w porządku, a ksiądz widocznie nie chciał go udzielić bez świadka. Gdybym się tam był nie znalazł w samą porę, to oblubieniec musiałby sobie sprowadzać świadka z ulicy. Piękna oblubienica podarowała mi suwerena, którego każe sobie przyczepić do dewizki na pamiątkę tego zdarzenia!

— Ależ to zupełnie nieoczekiwany zwrot! — rzekłem. — Co było dalej?

— Cóż, moje zamiary zdawały się też być w poważnym niebezpieczeństwie. Nowożeńcy mieli taką minę, jak gdyby chcieli natychmiast puścić się w podróż poślubną, musiałem więc zacząć od razu energicznie działać. Ale na progu kościoła rozstali się. On pojechał do Temple, ona do swojej willi. „O piątej jadę, jak zwykle, do parku!”, zawołała do niego, odjeżdżając. Więcej nic już nie słyszałem. No i pojechali, a ja poszedłem dalej, by zająć się swoimi interesami.

— Mianowicie?

— Zjeść kawałek rostbefu na zimno i wypić szklankę piwa! — rzekł, dzwoniąc. — Od rana nie miałem czasu pomyśleć o jedzeniu, a wieczorem będę miał prawdopodobnie dużo do roboty! Chcę cię zresztą prosić o pomoc, doktorze!

— Z przyjemnością!

— Nie będziesz się chyba bał wykroczyć przeciwko literze prawa?

— Nic a nic.

— I nie będziesz się obawiał, gdyby cię zamknięto w kozie w danym wypadku?

— Dla dobra sprawy, bynajmniej.

— O, sprawa jest zupełnie dobra!

— A zatem rozporządzaj mną, proszę!

— Wiedziałem, że mogę liczyć na ciebie!

— Cóż zamýślasz?

— Opowiem ci, skoro tylko moja gospodyni przyniesie mi jedzenie! Wybacz, mój drogi — mówił, zabierając się do spóźnionego śniadania — ale muszę jednocześnie jeść i mówić, zostaje mi bowiem bardzo mało czasu. Za dwie godziny musimy już być na placu naszego działania, bo panna, a raczej już pani Irena o siódmej wraca z przejażdżki. Więc jeżeli chcemy ją zastać, musimy jechać do Briony Lodge.

— A potem?

— Pozostaw to już mnie. Wszystko już obmyśliłem i przygotowałem. Muszę jednak przy jednym obstawać: przy tym mianowicie, żebyś czynnie nie mieszał się do niczego pod żadnym pozorem. Rozumiesz?

— Więc mam pozostać neutralny?

— Najzupełniej. Prawdopodobnie przyjdzie do różnych zakłóceń, ale nie kłopotuj się o to. Skoro już dostanę się do wnętrza domu, co jest najważniejszą rzeczą, wówczas wszelkie awantury ustaną. W cztery do pięciu minut potem okno dolnego pokoju zostanie otwarte. Otóż ty musisz być w pobliżu tego okna w tej chwili.

— Rozumiem.

— Powinieneś mnie dojrzeć z ulicy w pokoju i nie powinieneś już spuszczać mnie z oka.

— Rozumiem.

— Skoro tylko podniosę rękę do góry, wrzucisz do pokoju przedmiot, który ci dam, i równocześnie zaczniesz krzyczeć: „pali się!”. Czy pojmujesz to wszystko?

— Najzupełniej.

— Nie ma w tym nic niebezpiecznego — rzekł, wydobywając z kieszeni długą kiszkę w formie cygara — jest to zwykła rakietka, taka, jakiej używają robotnicy w kopalniach ołowiu, opatrzona na obu końcach automatycznymi zapalniczkami, które powodują wybuch. Twój okrzyk alarmowy na ulicy rozejdzie się prędko. Pójdiesz wówczas w dół ulicą, a za dziesięć minut ja cię już dopędzę. Spodziewam się, że wyjaśniłem ci wszystko zrozumiale?

— Mam zachować się neutralnie na ulicy, zbliżyć się do okna, dojrzeć ciebie w pokoju i nie spuszczać cię z oka, wrzucić tam na twój znak tę raketę, krzyczeć „pali się!”, a potem czekać na cię na rogu ulicy?

— Tak, to wszystko!

— Możesz więc na mnie najzupełniej liczyć!

— Dobrze. Zatem czas, bym i ja przygotował się do swej roli!

Udał się do swego sypialnego pokoju i za chwilę wyszedł przebrany za miłego, dostatnio odzianego księdza metodystę. Jego szeroki, czarny kapelusz, obszerne spodnie,

siwa peruka, miły, łagodny uśmiech i właściwy metodystom wyraz życzliwej, dobrodusznej ciekawości — składały się na wyborną całość. Holmes zmienił nie tylko ubranie. Przekształcił swoje rysy i sposób obejścia nie do poznania.

Kwadrans po szóstej opuściliśmy Baker Street i za dziesięć siódma znaleźliśmy się na Serpentine Avenue. Zmierzchało się już i zapalano właśnie latarnie. Zaczęliśmy przechadzać się przed willą tam i na powrót, czekając na przybycie właścicielki Briony Lodge. Dom miał wygląd zupełnie odpowiadający wyobrażeniu, jakie sobie utworzyłem o nim z opowieści Holmesa, tylko miejscowość była ludniejsza, niż myślałem. Wydawało mi się nawet, że jest ona zbyt ożywiona jak na tak małą uliczkę. Na jednym rogu gawędziła jakaś gromadka próżniaków, na wprost willi szlifierz ostrzył noże na przewoźnym swym przyrządzie, dalej paru żołnierzy romansowało z jakąś służącą. Kilku młodych, eleganckich ludzi, pałac cygara, spacerowało po chodnikach.

— Widzisz, mój kochany — rzekł Holmes — ten dzisiejszy ślub skomplikował nieco sprawę. Fotografia jest teraz obosiecznym mieczem. Nie sądzę, aby pani Irenie zależało teraz tak bardzo na pokazaniu jej panu Nortonowi, a przynajmniej zależy jej na tym akurat tyle, ile księciu na tym, by tę fotografię mogła podziwiać księżniczka Klotylda. Cała rzecz tylko w tym, gdzie ona ją ukrywa.

— A właśnie!

— Jest rzeczą mało prawdopodobną, by zawsze ją przy sobie nosiła. Fotografia gabinetowego formatu jest stanowczo za duża, aby ją można było ukryć z łatwością w sukni kobiecej. Dlatego myślę, że nie ma jej przy sobie.

— Więc gdzież może tkwić ta fotografia?

— Może u jej bankiera albo u jej adwokata. Obydwie te ewentualności są niezupełnie wykluczone, ale nieprawdopodobne. Bo dla czegoż miałyby tę fotografię oddawać komuś obcemu do schowania? Na siebie samą mogła liczyć, ale trudno obrachować, czy jakiś człowiek interesu, postronny w dodatku, mógłby się oprzeć wpływowi księcia, jakiemuś może cichemu naciskowi politycznemu? A zresztą książę mówił, że w najbliższych paru dniach ma ona potrzebować tej fotografii, musi ją więc mieć pod ręką teraz. Dlatego sądzę, że jest ukryta gdzieś w jej mieszkaniu.

— Ależ włamywano się tam już przecież dwukrotnie i szukano...

— Ba! Nie umieli po prostu szukać!

— A jakże ty chcesz ją znaleźć?

— Nie będę jej wcale szukać!

— Jak to?

— Ona sama musi mi ją pokazać!

— Tego z pewnością nie będzie chciała uczynić!

— Toteż nie dam jej wcale wolnego wyboru w tej kwestii. Słyszysz powóz? Jedzie! Teraz trzymaj się ściśle mojej instrukcji.

Ukazały się światła latarni powozowych i małe, eleganckie lando zajęchało przed willą. Zaledwie powóz stanął, jeden z kręcących się tam gamoniów przyskoczył, by otworzyć drzwiczki i dostać za to napiwek. Ale drugi miał ten sam zamiar i obaj wpadli na siebie. Wszczęła się głośna kłótnia. Obydwaj stojący nieopodal żołnierze zaraz się do niej wnieśli, stając po stronie pierwszego, zaś szlifierz z przeciwka też się w to wtrącił, broniąc drugiego. Przyszło do starcia, a wysiadająca z powozu młoda dama stanęła niespodzianie wśród gromadki ludzi nacierającej na siebie z podniesionymi pięściami i kijami. Holmes rzucił się jej na pomoc, ale zaledwie wpadł między zapaśników, przewrócił się na ziemię z twarzą oblaną krwią od silnego ciosu. Na ten widok bijący się drapnęli na wszystkie strony i tylko paru przyzwyczajonych widzów przypatrujących się tej scenie pośpieszyło damie i jej zranionemu obrońcy z pomocą. Irena Adler skoczyła na stopnie podjazdu willi i obróciła się niezdecydowana ku ulicy, przy czym dojrzałem w świetle latarni jej cudowną istotnie i wytworną postać.

— Czy ten biedny pan jest ciężko zraniony? — spytała.

— On nie żyje! — zawołała parę głosów.

— Nie, nie! Jeszcze oddycha! — rzekł jeden z nich. — Ale sądzę, że będzie po nim, zanim uda się go dowieźć do szpitala.

— Mój Boże! Taki dobry człowiek! — rzekła jakaś kobieta. — Gdyby się nie był wmixszał w tę sprawę, byliby tej pani zdarli łańcuszek i zegarek! To znane rzezimieszki! O, jeszcze się rusza!

— Ależ tu go przecież nie można tak zostawić! — zawołał ktoś. — Czy pozwoli pani, byśmy go wnieśli do domu? Niechże chociaż nie umrze na ulicy!

— Naturalnie, umieście go panowie na dole, w pokoju jest wygodna sofa. Proszę za mną! — rzekła Irena.

Z wolna i ostrożnie wniesiono Holmesa do wnętrza domu i złożono na sofie w eleganckim pokoju na dole. Patrząc przez wielkie okno, obserwowałem uważnie to wszystko, tym łatwiej, że zapalono w pokoju światła, a przez pośpiech zapomniano zapaścić w oknach zasłony. Zadawałem sobie pytanie, czy jego fałszywe położenie i ta dziwna gra nie przyczynia mu teraz jakichś wyrzutów sumienia. Co do mnie, czuwałem pewien wstyd, myśląc, że knujemy podstęp przeciwko tej młodej, czarującej kobiecie, która opiekowała się Sherlockiem z taką troskliwością. Ale pomyślałem, że cofać się teraz jest już za późno i wydobyłem z kieszeni rakiętę. Uspokoiła mnie myśl, że przecież jej się nic złego nie stanie i że przeszkodzimy jej tylko w wyrządzeniu krzywdy innej osobie.

Tymczasem Holmes podniósł się i uczynił taki ruch, jakby mu ciężko było oddychać. Służąca, stojąca obok niego, pośpieszyła otworzyć okno. W tej samej chwili dostrzegłem, że podnosi rękę i cisnąłem swoją rakiętę do pokoju, krzyżąc co sił „Pali się! Ratujcie!”. Krzyk mój powtórzyły w ulicy natychmiast jakieś obce głosy i mnóstwo ludzi zaczęło się zbiegać. Ogromne kłęby dymu buchnęły tymczasem z otwartego okna pokoju. Widziałem w tym dymie sylwetki ludzi biegnących tu i ówdzie z krzykiem i usłyszałem wśród gwaru i hałasu głos Holmesa zapewniający, że alarm był fałszywy. Precyzyjnie się więc przez zbity tłum i poszedłem do rogu ulicy. Nie upłynęło jeszcze pięć minut, gdy zjawił się przy mnie Holmes i w milczeniu ujął moje ramię. Skierowaliśmy się ku domowi. Przez parę minut szliśmy, nie mówiąc ani słowa. Czekałem, aż Holmes zacznie. Nareszcie skreślił w spokojną już ulicę Edgeware Road.

— Doskonale wywiązałeś się z zadania, doktorze! — rzekł wreszcie. — Niepodobna było lepiej tego zrobić. No, teraz już wszystko w porządku.

— Masz więc fotografię?

— Jeszcze nie, ale wiem, gdzie jest schowana!

— Jakżeś to wypenetrował?

— Ona sama pokazała mi kryjówkę. Mówiłem ci przecież, że tak będzie!

— Nic nie rozumiem.

— Nie chcę robić z tego żadnej tajemnicy! — rzekł, śmiejąc się. — Cała historia jest bardzo prosta. Zgadujesz zapewne, że całe to zbiegowisko na ulicy było urządzone umyślnie. Wszyscy ci ludzie zostali specjalnie zaangażowani na dzisiejszy wieczór.

— Tak też i myślałem!

— Gdy rozpoczęła się awantura, miałem w ręce trochę wilgotnej, czerwonej farby. Padając, umazałem sobie twarz i wyglądałem naturalnie strasznie. To stara sztuczka.

— Tego domyśliłem się także.

— Wniesiono mnie do domu. Temu nie mogła przeszkodzić. I właśnie złożono mnie w tym pokoju, o który mi chodziło. Pokój ten przytyka do jej sypialni, nic zatem nie mogło ująć mojej uwagi. Kiedy mnie złożono na sofie, udałem, że przychodzę do siebie, tylko duszno mi bardzo. Otwarto więc okno, a wtedy przyszła kolej na ciebie.

— Cóż ci to mogło pomóc?

— O, bardzo wiele. Każda kobieta rzuci się ratować najdroższy swój skarb, skoro tylko usłyszy, że dom jej płonie. Jest to odruch zupełnie naturalny i nieraz już użytkowałem go na swą korzyść. Kobieta zamężna, matka, ratuje najpierw dziecko, kobieta niezamężna swoje klejnoty. Otóż sądziłem zupełnie słusznie, że dla naszej damy najdroższym skarbem jest wiadoma fotografia. Dałaby wszystko, żeby ją ocalić z płomieni. Alarm pożarowy wypadł znakomicie. Dym i dzikie wrzaski pokonałyby najsilniejsze nerwy. Ona też zareagowała od razu. Fotografia znajduje się w małej ściennej niszy krytej fałszywą ścianą, tuż nad dzwonkiem. Pani Irena rzuciła się tam od razu i przekonałem się nawet, spojrzawszy szybko z boku, że wydobyła stamtąd fotografię. Kiedy zawołałem, że to fałszywy alarm, schowała ją szybko na powrót, obejrzała wraz ze mną rakiętę i poszła do sypialni. Potem już jej nie widziałem. Złożywszy stokrotne podziękowania za okazaną

mi troskliwość, wyniosłem się czym prędzej. Wahałem się, czy nie chwycić fotografii, ale do pokoju wszedł stangret i nie spuszczał mnie z oka. Uznałem więc za stosowne odłożyć to na później, skoro jakaś drobnostka mogłaby wszystko zepsuć.

— I co teraz? — zapytałem.

— Cóż, teraz to już doprawdy nie ma prawie co robić. Jutro złożę tej pani w towarzystwie księcia wizytę. Jeżeli masz ochotę, możesz nam towarzyszyć. Będziemy przyjęci na dole i pewnie pani Irena każe na siebie czekać. Wątpię tylko, czy kiedy wyjdzie, zastanie nas jeszcze, jak również fotografię. Może książę będzie miał specjalną satysfakcję, mogąc ją własnoręcznie odebrać.

— Kiedyż ta wizyta nastąpi?

— Jutro o ósmej z rana. O tej porze dama jeszcze jest w łóżku i będziemy mieli wolne ręce. Naturalnie musimy być punktualni, bo nie wiadomo, czy małżeństwo nie wprowadziło jakichś zmian w sposobie jej życia i zwyczajach. Natychmiast też uprzedzę księcia.

Podczas rozmowy dotarliśmy do drzwi mieszkania na Baker Street. Sherlock szukał właśnie klucza w kieszeni, kiedy jakiś przechodzień zawołał, mijając go: „Dobranoc panu, panie Holmes!”. Na chodnikach było o tej porze dosyć dużo ludzi, a życzenie to zdawało się pochodzić od jakiegoś owiniętego w faldzisty płaszcz młodego człowieka, który szybko podążył naprzód.

— Gdzieś już słyszałem ten głos! — rzekł Holmes, patrząc w słabo oświetloną ulicę.  
— Kto to mógł być, u diabła?!

### III.

Spałem tej nocy przy Baker Street u Holmesa i właśnie piliśmy ranną kawę, kiedy zjawił się książę. Wpadł jak wicher.

— Ma ją pan rzeczywiście? — zapytał, chwytając Sherlocka za ramiona.

— Dotąd jeszcze nie.

— Ale ma pan nadzieję?

— Mam.

— W takim razie chodźmy, proszę. Drżę z niecierpliwości!

— Musimy najpierw posłać po powóz.

— Mój brougham<sup>10</sup> czeka przed domem.

— Tym lepiej.

Wsiedliśmy i pojechaliśmy szybko do Briony Lodge.

— Irena Adler wyszła za mąż — zauważył Holmes.

— Wyszła za mąż?! Kiedy?

— Wczoraj.

— I za kogóż?

— Za angielskiego adwokata nazwiskiem Norton.

— Rzeczywiście? No, kochać go w żadnym razie nie będzie!

— A jednak w interesie waszej wysokości byłoby życzyć sobie tego.

— Z jakiego powodu?

— Bo w przyszłości uchroniłoby to waszą wysokość od wszelkich przykrości. Jeżeli Irena kocha męża, to nie kocha już waszej wysokości, a jeżeli nie kocha, to nie widzę powodu, dla którego miałaby chcieć pokrzyżować waszej wysokości plany na przyszłość.

— Rozumuje pan bardzo słusznie; a jednak... ach, chciałbym doprawdy bardzo, aby ta kobieta była mi równa pod względem urodzenia, co by z niej była za księżna! — Książę utonął w myślach i milczeliśmy aż do chwili przybycia na miejsce.

Gdy powóz stanął przed Briony Lodge, drzwi willi były szeroko otwarte, a na progu stała jakaś starsza dama, przypatrując się z sardonicznym uśmiechem, jak wysiadaliśmy.

— Pan Sherlock Holmes, nieprawdaż? — zapytała mego przyjaciela.

Spojrzał na nią niepomiernie zdziwiony.

— Tak jest — odrzekł — jestem Sherlock Holmes!

<sup>10</sup>brougham — rodzaj krytego powozu jednokonnego. [przypis edytorski]



— Moja pani zapowiedziała mi prawdopodobne pańskie przybycie — rzekła gospodyni. — Odjechała wraz z mężem na kontynent pociągiem o piątej piętnaście z Charing Cross.

— Co? — zawołał Sherlock bladej jak ściana. — Czy pani chce przez to powiedzieć, że pani Norton opuściła Anglię?

— Tak. Na zawsze...

— A papiery?! — zawołał książę. — A więc wszystko stracone!

— Musimy się przekonać! — rzekł Holmes. Odsunął na bok gospodynię i wszedł do domu. Książę i ja pośpieszyliśmy za nim. Meble w pokojach były poprzestawiane i w nieładzie — szafy otwarte i próżne. Holmes poskoczył do ściany, gdzie był dzwonek, nacisnął tam ukrytą sprężynkę i otworzył tajną skrytkę, z której wydobył dużą fotografię i list. Fotografia przedstawiała Irenę Adler w stroju balowym, list adresowany był do Sherlocka Holmesa. Przyjaciel mój rozerwał kopertę i zaczęliśmy czytać go wszyscy trzej naraz.

Był on napisany o północy i brzmiał jak następuje:

„Kochany Panie Holmes!

Odegrał pan zdumiewająco swą rolę i udało się panu zyskać moje pełne uznanie. Aż do chwili alarmu pożarowego nic nie podejrzewałam, ale potem spostrzegłam, że się zdradziłam i poczęłam rozmyślać. Już parę miesięcy temu ostrzegano mnie przed panem i twierdzono, że pan jeden mógłby sprawę księcia ze mną rozstrzygnąć na jego korzyść. Wtedy też podano mi pana adres. Początkowo wstyd mi było podejrzewać takiego zacnego staruszka kapłana, ale pan wie, że ja też byłam aktorką i znam się na dobrym maskowaniu. Niejednokrotnie nawet z amatorstwa sama używałam przebrań. Posłałam więc mego stangreta Johna do pokoju, a sama szybko przebrałam się w jeden z mych kostiumów. Zdążyłam na czas, by śledzić pana od wyjścia z mego domu aż do chwili, kiedy stanął przed swym mieszkaniem i wtedy to życzyłam panu dobrej nocy, po czym pośpieszyłam do mego męża. Obydwoje uznaliśmy, że lepiej będzie nie mierzyć się z panem. Ustępujemy przed tak groźnym przeciwnikiem. Dlatego zastanie pan jutro gniazdko próżne. Co do fotografii — pański klient może być zupełnie spokojny. Kocham i jestem kochana przez człowieka o wiele szlachetniejszego od niego. Książę może robić, co zechce. Mimo że ciężko względem mnie zawinił, nie stanę mu więcej na drodze. Fotografię zachowam jednak na pamiątkę i dla obrony przed ewentualną przyszłą napaścią. Zostawiam dla księcia inną, która będzie mu może droższa, i pozostaję z wysokim szacunkiem

szczerą pańską przyjaciółką,

Irena z Adlerów Norton.

— Co to za kobieta! Co za kobieta! — zawołał książę, skoro skończyliśmy czytać. — Czy nie mówiłem panu, jak ona prędko i energicznie działa? Czy nie byłaby z niej doskonała księżna? Przecież to nieoszacowana szkoda, że nie stoi ona na równym mnie stopniu!

— Sądząc z tego, jak postępuje, zdaje się, że istnieje zasadnicza różnica między nią a waszą wysokością — rzekł Holmes chłodno. — Żałuję tylko, że nie doprowadziłem tej sprawy do innego, lepszego rozwiązania!

— Ależ przeciwnie, kochany panie! — zawołał żywo książę. — Nie mogłem życzyć sobie lepszego! Jej słowo jest święte. Co do fotografii, teraz tak jakby ją w ogień wrzucono!

— Bardzo rad jestem, że wasza wysokość jest zadowolony!

— Jestem pańskim dłużnikiem. Proszę, powiedz mi pan, jak mógłbym się panu wywdzięczyc? Może ten pierścień — to mówiąc, zdjął z palca przepyszny szmaragd i podał go Holmesowi.

— Wasza wysokość posiada coś bez porównania droższego! — rzekł tenże.

— Proszę, zechciej pan to wskazać.

— Tę fotografię.

Książę spojrział nań ze zdumieniem.

— Fotografię Ireny? Ależ, jeżeli tylko panu na niej zależy... proszę!

— Dziękuję waszej wysokości. Sprawę uważam zatem za załatwioną. Nic więcej uczynić tu nie można. Mam zaszczyt pożegnać waszą wysokość!

To mówiąc, skłonił się sztywno i odszedł, nie zauważywszy wyciągniętej ku sobie do uścisku książęcej dłoni.

W ten sposób wielki skandal grożący królestwu Bohemii został zażegnany, a zarazem najstaranniejsze plany Sherlocka Holmesa pokrzyżowane przez inteligencję kobiety. Dawniej zwykł żartować z rozumu kobiet, ale ostatnio nie słyszałem, żeby to robił. A kiedy mówi o Irene Adler albo o jej fotografii, zawsze używa zaszczytnego tytułu „Kobieta”.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/doyle-skandal-w-bohemii/>

Tekst opracowany na podstawie: Arthur Conan Doyle, *Sherlok Holmes i jego przygody no 1. Skandal w księstwie O\*\*\**, wyd. Jan Fiszer, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([wolnelektury.pl](https://wolnelektury.pl)). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).